

Temat tygodnia

- 12 Adam Grzeszak **Wielka GAFA**
zawładnęła światem

Polityka

- 16 Mariusz Janicki
Wiesław Władysław
Podręczni Kaczyńskiego
19 Tomasz Bielecki
Unia odpuszcza?
22 Prof. Jacek Leociak
oraz Piotr Wiślicki
o projekcie muzeum getta
warszawskiego

Społeczeństwo

- 26 Martyna Bunda
Co czeka
siódmoklasistów
29 Violetta Krasnowska
Władza nęka Obywateli
32 Piotr Pytlakowski
Walka o spadek
po prof. Kwiatkowskim

Rynek

- 34 Joanna Solska
Chore dziki
ruszyły na Zachód
37 Ryszarda Socha
Stocznioyca na lodzie

Świat

- 40 Łukasz Wójcik
Autokraci bez następców
43 Artur Domosławski KUBA
Kto po Castro
46 Ewa Wanat NIEMCY
Poligamia tolerowana

Historia

- 48 Jerzy Kochanowski
Zakopiański Marzec '68

Nauka

- 52 Jędrzej Winięcki
Ile kosztuje puszcza
58 Marcin Rotkiewicz
Fake newsem w GMO
60 Paweł Walewski
Chora medycyna pracy

Ludzie i style

- 62 Jan Rojewski
Aleksandra Żelazińska
Kurierzy z Indii



12

Google, Apple, Facebook,
Amazon: oni rządzą światem



16

W służbie prezesa



46

Żony na dwa domy



92

Jasnogórski Kabaret Wszechpolski

- 66 Marcin Piątek
Lance Armstrong
wraca do łask?

Kultura



- 72 Piotr Sarzyński
Nagroda Architektoniczna
POLITYKI: poznajcie
finalistów!
76 Bartek Chaciński
Muzyka rozrywkowa
– czyli właściwie co?
78 Justyna Sobolewska
Dziwność życia
według Tokarczuk
80 Rozmowa z Tomaszem
Koniecznym o współczesnej
operze
83 KAWIARNIA LITERACKA
Michał R. Wiśniewski
84 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego
85 Janusz Wróblewski
Miłoś Forman
i jego paradoksy wolności

Na własne oczy

- 92 Ziemowit Szczerek
Pielgrzymka nacjonalistów
na Jasną Górę

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 6 Ludzie i wydarzenia • 68 Afisz
- 86 Passent • 87 Chutnik i Plebanek
- 88 Stomma • 90 Do i od redakcji
- 91 Fusy • 98 Polityka i obyczaje

UWAGA CZYTELNICY!
Kolejny specjalny numer POLITYKI
na majówkę
będzie do kupienia
przez dwa tygodnie:

od **25** kwietnia
do **8** maja!

Następne wydanie
ukaze się w **środe:**

9 maja



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Znawca charakterów

W czasach gdy olbrzymi wpływ na debatę polityczną mają sterowane algorytmami dyskusje w mediach społecznościowych, szalenie ważny jest kontakt z ludźmi, którzy się algorytmom nie kłaniają, takimi jak wicepremier Gliński. To polityk, którego przed powiedzeniem tego, co wie, żaden algorytm nie powstrzyma, dlatego wywiady z nim czytam uważnie, żeby z nich coś zrozumieć. I jeśli mi się nie udaje, to nie dlatego, że Gliński mówi niewyraźnie, ale dlatego, że to, co mówi, że wie, ma luźny związek z faktami. Weźmy zamach smoleński, za którym – jak wiadomo – żadne fakty nie przemawiają, co jednak nie przeszkadza Glińskiemu posiadać wiedzy, że mogło do niego dojść. Bo jak wyjaśnia, „nawet jeśli nie mamy wiedzy co do faktów, to mamy wiedzę co do charakteru systemu postsowieckiego”. Nie dziwię się, że dla Glińskiego pewniejszym źródłem wiedzy o zamachu smoleńskim jest charakter systemu, który zna, niż fakty, których nie zna. W końcu fakty, których nie znamy, mogą nas czasem zmylić, podczas gdy czyjś zbrodniczy charakter – na pewno nie. Dlatego dobrze, że Gliński wiedzy o faktach nie demonizuje. Ważne, że dzięki znajomości charakterów jest w stanie skutecznie na rozmaite fakty reagować, zanim je pozna, a nawet zanim one się wydarzą, dzięki czemu



się już nie wydarzają. Wiedza o podstępnym charakterze rodziny Czartoryskich spowodowała np., że wicepremier nie czekał, aż zaistnieje fakt wywiezienia przez tę rodzinę kolekcji skarbów narodowej kultury do Lichtensteinu, tylko w ostatniej chwili wykupił ją od niej za 100 mln euro. Dzięki temu patriotycznemu posunięciu fundacja Czartoryskich wywiozła do Lichtensteinu gotówkę, a cenna kolekcja została w kraju.

Trzeba powiedzieć, że atakowanie Glińskiego za to, że odzyskał kolekcję przez wypłacenie Czartoryskim 100 mln euro, nawet on sam uważa za przejaw „łobuzerii politycznej”, której pełno w szeregach totalnej opozycji. Choć, jak się okazuje, nie brakuje jej, niestety, również w szeregach PiS. Red. Sakiewicz ostrzega w „Gazecie Polskiej”, że i tam „trafiają się łobuzy”, które potrafią np. posunąć się do wyśmiewania i okazywania pogardy wyznawcom religii smoleńskiej. Ja osobiście nie jestem zbyt religijny, ale chcę powiedzieć jasno i wyraźnie, że wyśmiewanie się z osób dotkniętych upośledzeniem intelektualnym, jakim jest wyznawanie religii smoleńskiej, to dowód zwyrodniałstwa i moralnego bankructwa części obozu dobrej zmiany. Za co, miejmy nadzieję, oboz ten spotka zasłużona kara.

Biznes wraca do atramentu!

Mimo cyfryzacji, drukarki od lat pozostają jednym z kluczowych urządzeń w nowoczesnym biurze. Nie znaczy to jednak, że nic w tym segmencie się nie zmienia – istotnym novum jest błyskawicznie rosnąca popularność drukarek atramentowych, stopniowo wypierających „laserówki” (przez lata uważane za niezastąpione przy druku dokumentów w firmie). Trudno się temu dziwić – drukarki atramentowe nowej generacji mogą drukować taniej, zapewniając wydruki lepszej jakości i znakomitą wydajność.

Za tą zmianą stoi Epson, który ponad pół wieku temu stworzył pierwsze urządzenia tego typu. Japoński producent stale rozwija autorskie technologie druku – i właśnie to pozwoliło mu w ciągu ostatnich kilku lat na wprowadzenie serii urządzeń, które bez problemu mogą konkurować z „laserówkami” pod względem szybkości, jednocześnie bijąc je na głowę jakością druku, wygodą eksploatacji i niskim kosztem użytkowania. Oto pięć podstawowych atutów drukarek atramentowych dla biznesu od firmy Epson – będących ich kluczowymi przewagami nad odchodzącym do lamusa laserem.

1. NISKIE KOSZTY EKSPLOATACJI

Niska cena pojedynczego wydruku przez lata pozostawała kluczową zaletą drukarek laserowych – znany z drukarek atramentowych system małych kartridży z tuszem podnosił koszty eksploatacji. Sytuacja zmieniła się wraz z wprowadzeniem na rynek urządzeń WorkForce Pro, wykorzystujących pojemne zasobniki z tuszami DURABrite Ultra i DURABrite. Oferują one niski koszt druku w przeliczeniu na stronę, a dodatkowo są odporne na wodę, promieniowanie UV i ścieranie.

Nie mniej istotne jest to, że druk atramentowy wg Epson – inaczej niż laserowy – odbywa się bez podgrzewania tuszu czy podzespołów. Dzięki temu oszczędza się nawet 96% energii elektrycznej – w skali roku pozwala to na oszczędności setek złotych nawet na jednym urządzeniu. Dodatkową zaletą atramentówek Epsona jest fakt, iż przez cały okres eksploatacji sprzętu wystarczy uzupełniać tylko tusze i papier. W „laserówkach” lista elementów, które należy regularnie wymieniać, jest znacznie dłuższa (bębnny, grzałki, itp.).

2. WYDAJNOŚĆ

Przewagą „atramentu” nad „laserem” jest też wysoka wydajność – przejawiająca się zarówno krótkim czasem drukowania strony, ale przede wszystkim niemal natychmiastowym startem pracy. W przypadku drukarek laserowych na rozpoczęcie drukowania trzeba czekać nawet kilkadziesiąt sekund – dla porównania, w modelu Epson WorkForce Pro WF-5620DWF pierwsza strona gotowa jest już po 7 sekundach. Znakomicie wygląda również kwestia liczby wydruków na minutę – modele WorkForce z serii Enterprise potrafią w tym czasie wydrukować dwustronnie nawet 100 stron.



3. NAJWYŻSZA JAKOŚĆ

Doskonała jakość od zawsze była atutem drukarek atramentowych – jeśli komuś zależy na żywych, wyraźnych i pełnych szczegółów kolorach, oczywistym wyborem będzie właśnie „atramentówka”. A w szczególności technologia Epsona wykorzystująca druk piezoelektryczny. Atrament jest w niej dostarczany na nośnik za pomocą ładunków elektrycznych, a nie przez jego podgrzewanie co pozwala precyzyjnie kontrolować wielkość i umieszczenie kropelek. Dodatkowymi atutami jest również świetna trwałość wydruków – dzięki zastosowaniu najlepszych atramentów są one przez długie lata wyraźne i pełne nasyconych kolorów.

4. WSZECHSTRONNOŚĆ – JEDNO URZĄDZENIE I WIELE ZASTOSOWAŃ

Sprzęt z serii Epson WorkForce Pro to urządzenia wielofunkcyjne, integrujące funkcje drukarki, skanera i kopiarki. Podajniki dokumentów (ADF) i dołączane bezpłatnie oprogramowanie czynią z niego de facto centrum zarządzania dokumentacją – zarówno papierową w postaci wydruków, jak i plikami przy niezbędnej archiwizacji. System potrafi np. samodzielnie rozpoznać charakter skanowanego dokumentu i zgodnie z zadaną konfiguracją wysłać go do właściwego katalogu na dysku czy w chmurze.

Co istotne, urządzenia te mogą drukować na wielu rozmiarach i typach nośnika (papier – o grubości do 300 g/m² – folia, naklejki itp.) i oferują cały zestaw przydatnych w codziennej eksploatacji funkcji dodatkowych, takich jak np. łączność bezprzewodowa, kontrola dostępu itp...

5. EKOLOGIA

Ostatnim argumentem za wyborem drukarki atramentowej jest fakt, iż urządzenia tego typu są zdecydowanie bardziej przyjazne dla środowiska. Atramentówki generują minimalne ilości odpadów eksploatacyjnych oraz szkodliwych substancji (takich jak znany z laserowej ozon) powstających podczas procesu drukowania – a na dodatek zużywają znacznie mniej energii na każdym etapie swego życia.

Nie na temat



Jerzy Baczyński

Sobotnia konwencja Zjednoczonej Prawicy zapowiadana była jako wielkie programowe otwarcie sezonu wyborczego. Miała – czego nawet specjalnie nie ukrywano – przykryć ostatnie wizerunkowe kłopoty władzy, odwrócić negatywne sondażowe tendencje, wzmocnić słabnące morale i dyscyplinę kadr (o kadrach PiS s. 16). Czy ten plan główny się udał, trudno powiedzieć; same sondaże, nawet jeśli będą teraz dla PiS korzystniejsze, odpowiedzi nie dadzą, bo po „kryzysie nagrodowym” ewidentnie nadwerężona została więź sporej części wyborców z partią, a tego nie ma jak zmierzyć. Rzeczywistym sprawdzianem będą dopiero jesienne wybory samorządowe.

Konwencja, która politycznie otwierała kampanię samorządową, pokazała jednak w sposób niezamierzony, jak ogromne kłopoty ma PiS z tymi wyborami. Wśród tysięcy wypowiedzianych zdań i dziesiątek składanych obietnic właściwie nic nie było adresowane do lokalnych władz i wyborców (poza zdawkową zapowiedzią premiera, że będziemy budować więcej dróg gminnych i powiatowych, zwanych – od nazwiska twórcy pierwszego takiego planu – schetyńówkami). Partia Kaczyńskiego samorządom nie ufa, chciałaby je kontrolować, podporządkować władzy centralnej, ograniczyć ich własne kompetencje i fundusze, tak jak teraz ustawą chce obciążyć wynagrodzenia samorządowców.

Zjednoczona Prawica ociąga się zresztą z wystawieniem kandydatów (spodziewano się, że pierwsze nazwiska zostaną ujawnione na konwencji), bo wyraźnie ma kłopoty ze znalezieniem odpowiednich ludzi. Właśnie dlatego nadchodzące wybory chciałaby uczynić tak partyjnymi jak to tylko możliwe, przekonać wyborców, aby po prostu głosowali „na PiS” – a na kogo konkretnie, to w sumie bez znaczenia. Dlatego warszawski zjazd partii nie dotyczył jakichś tam samorządów; był uroczystym otwarciem gry o wszystko, czyli o pełnię władzy nad Polską.

Najogólniej mówiąc, PiS złożył Polkom i Polakom następującą ofertę: wy dajecie nam rządzić, my dajemy wam upominki. W ogóle nie rozmawiamy o państwie, ustroju, prawach opozycji, swobodach demokratycznych, publicznych mediach, szkolnictwie, organizacji służby zdrowia, polityce zagranicznej, niezależności prokuratury i sądownictwa, reparacjach, degradacjach, Smoleńsku, o zarobkach i przywilejach władzy i tym podobnych tematach, które bez przerwy próbuje narzucić totalna opozycja. To kwestie, które nie mają znaczenia dla życia narodu. Rozmawiamy o tym, co władza może dla was zrobić. „My mówimy o problemach Polaków, a opozycja tylko o PiS” – drwił konferansjer.

Rzeczywiście, podczas konwencji unikano jak ognia wszelkich wątków politycznych. PiS skupił się na socjalnych obietnicach, nazywanych tu Programami, zwykle opatrzanymi logo „Plus”, sugerującym coś ekstra, dodatkowego, ponad miarę. Usłyszeliśmy więc o programie „Mama Plus”, zawierającym albo rozwiązania mało kosztowne (dopłaty do minimalnych emerytur dla niepracujących czterdzielatków), bezkosztowe, jak organizacyjne udogodnienia dla matek-studentek (czy także dla matek-licealistek, pozbawionych dostępu do antykoncepcji?), aż po tak dziwaczne jak premia – już nazywana „króliczą” – za szybkie urodzenie drugiego dziecka.

Premier rzucił hasło „Dostępność Plus”, adresowane do seniorów, którym za niebotyczną kwotę 23 mld zł (w ciągu ilu lat?) będzie można poprawić warunki życia. Także entuzjastycznie powitany „Program dla małego biznesu”, warunkowej obniżki ZUS i CIT, w opinii

samych przedsiębiorców ma charakter marginalny. Jedyna realna obietnica konwencji to „300 Plus”, czyli wypłata 300 zł do ręki jednorazowo „na wyprawkę szkolną dla każdego dziecka”. Koszt stosunkowo nieduży, pewnie z półtora miliarda; pieniądze trafią na konta parę tygodni przed wyborami. OK – jedne propozycje są mniej, inne bardziej sensowne. Problem, że w ogóle nie da się, a być może i nie warto, racjonalnie o nich dyskutować.

PiS z powodu kłopotów wizerunkowych musiał przyspieszyć prezentację wyraźnie jeszcze niegotowych planów na wybory parlamentarne. Już jednak wiemy, że będą kolejne transfery, być może na następne dziesiątki miliardów złotych. Spodziewany jest np. program „Senior Plus”, czyli obietnica dopłat do emerytur (zapewne już po 2020 r., więc po wyborach). Lub coś innego na skalę 500 plus. Za utrzymanie się przy władzy nie ma ceny, której nie można by zapłacić i obciążyć nią budżet. Alexis de Tocqueville przed niemal 200 laty napisał prorocze ostrzeżenie: „Amerykańska demokracja przetrwa do czasu, kiedy Kongres odkryje, że można przekuć społeczeństwo za publiczne pieniądze”. Amerykańska struktura władzy została tak zbudowana, żeby to niebezpieczeństwo odsunąć, pisowska jest budowana tak, aby się tą formułą posłużyć.

Dla demokratów w Polsce to sytuacja skrajnie trudna: większość, niemal wszyscy, opowiada się dziś za państwem opiekuńczym, ma swoje pomysły i programy socjalne, często tańsze, lepiej pomyślane i zaadresowane niż propozycje PiS, ale też hojne. Trudno jednak na tym polu rywalizować z władzą, bo opozycja zawsze będzie miała problem wiarygodności: sama nie dysponuje żadnymi pieniędzmi i trzeba jej wierzyć na słowo, podczas gdy władza już dziś ma dostęp do całego budżetu państwa.

W ogóle entuzjastom kolejnego „wizerunkowego majstersztyku PiS” trzeba zwrócić uwagę, że transfery socjalne to najłatwiejsza i najprzyjemniejsza polityka na świecie. Jeśli przyjąć, że nie ma ograniczeń z pieniędzmi, a taka jest narracja i taka praktyka PiS. Rzeczywiście dziś ryzyko gospodarcze jest niewielkie, bo mamy znakomitą koniunkturę i w perspektywie 2–3 lat żadne załamanie finansom państwa nie grozi. Może później, ale to bez znaczenia – na razie chodzi przecież o wygranie wyborów w 2019 r. Po nich będzie już pozamiatane: nastąpi konsolidacja systemu partii-państwa („Polska jest jedna”), domknie się „ciąg technologiczny” wymiaru sprawiedliwości, a na opozycję – wypominając np. nierealizowanie obietnic wyborczych – będzie czekał program Cela Plus.

Czy da się ten scenariusz zatrzymać? Dla opozycji ważniejsze od konwencji PiS jest to, co po niej: partia władzy rusza w teren, ma odwiedzić setki miejscowości i obiecywać, obiecywać. Opozycja też musi jechać trop w trop, proponować swoje, a przede wszystkim przekonywać, że podnoszenie, w taki czy inny sposób, świadczeń społecznych nie może wiązać się z ograniczaniem demokracji. „Polskie państwo dobrobytu” nie musi być jednocześnie państwem represji, nieudolności, arogancji i samowoli władzy.



KOMENTARZ

Trochę zamach,
trochę katastrofa

Mariusz Janicki

Przy okazji ostatniej – jak to określił jeden z polityków PiS – „okrągłej rocznicy katastrofy smoleńskiej” powszechnie i triumfalnie odrąbiono kłeskę Antoniego Macierewicza. Prezes Kaczyński wspominał o nieudanych eksperymentach podkomisji, pod „technicznym raportem” podpisał się tylko jej przewodniczący, kilku jej członków nie przyszło na prezentację, a jeden w ogóle zrezygnował z dalszych prac. Organizatorzy obchodów podobno chłodno potraktowali członków Klubów Gazety Polskiej, tych najwierniejszych z wiernych religii smoleńskiej. W dodatku TVP niemal zupełnie zignorowała konferencję Macierewicza. Ten zły zatem przegrał, a dobry Kaczyński pańskim gestem ratuje nas od paranoi smoleńskiej – kolejny przekaz z Nowogrodzkiej wszedł jak w masło.

Nie wiadomo, jak Kaczyński to robi, ale znowu tanim kosztem kupił sobie nowe otwarcie, w czym pomagają mu również komentatorzy spoza kręgów władzy. Oto Macierewicz jest tym, który mąci, a prezes PiS się tylko ogania. Tyle że to Kaczyński przez lata wspierał Macierewicza w jego zamachowych tezach, uczestniczył w tzw. konferencjach smoleńskich, rzucał najcięższe oskarżenia, powtarzał wynurzenia o wybuchach, mówił

o zamordowaniu brata przez opozycję, o „zdradzonych o świecie”.

W końcu to w państwie PiS, gdzie Kaczyński jest udzielnym władcą, Macierewicz – stojąc na czele instytucji podlegającej konstytucyjnemu ministrowi – przedstawił dokument, z którego wynika, że najprawdopodobniej służby rosyjskie podłożyły ładunki wybuchowe w rządowym samolocie i spowodowały śmierć prezydenta. I to prezydenta kraju należącego do NATO. Gdyby taki komunikat poszedł z każdego poważnego państwa, byłaby to światowa sensacja, stolice gorączkowo by się konsultowały, przemówiliby rzecznicy rządów. Skoro nawet próba otrucia w Wielkiej Brytanii byłego szpiega spowodowała głęboki kryzys i sankcje wobec Kremla, to jakie piekło powinno się rozpętać po zabójstwie głowy sojuszniczego państwa? A tu nic, przejmująca cisza.

Nic tak dobrze jak sprawa smoleńska nie pokazuje, do jakiego stanu doprowadzili państwo Kaczyński i jego ludzie, jaka jest w tej chwili pozycja Polski i jej powaga na międzynarodowej arenie. Ale też sami Polacy zaczynają traktować swój kraj i jego instytucje jak wesołe miasteczko, gdzie występuje kobieta z brodą. Słychać typowe reakcje: eee tam, przecież wiadomo, kim jest Macierewicz, o wybuchach mówi od dawna, nie ma się czym przejmować.

Wdzięczność do Kaczyńskiego za to, że się trochę odseparował od Macierewicza (trochę, bo szef PiS mówił przecież również o „udanych” eksperymentach podkomisji, ciekawe jakich?) jest tak wielka, że posypały się wzruszające apele o jedność, o zasypianie podziałów i odpuszczenie sobie win. Mówi się, że przez lata nie uwzględniano „wrażliwości drugiej strony”, a ona też ma swoje racje, że właściwie bardziej winny jest antyPiS, bo był arogancki i nie wykazał

empatii. Następuje zrównanie wszystkich argumentów: może PiS lansował zamach, ale Platforma nie zgadzała się na pomnik, może wmawiano Tuskowi spisek z Putinem, ale pomyłono kilka zwłok. Słowem, zapomnijmy sobie to i idźmy do przodu. Pytanie: dokąd?

Widać tendencję, aby ustalić, że prawda leży pośrodku: że trochę był zamach, a trochę katastrofa. Głoszenie, że raport Millera ustalił przyczyny tragedii w Smoleńsku, jawi się dzisiaj jako przejaw prowokacyjnego radykalizmu, sianie niezgody narodowej, dówód bezduszości. Można dostrzec wyraźną presję na przyjęcie formuły, że „pewnie nigdy już się nie dowiemy, co tam się stało”. To ma być postawa kompromisowa, sprzyjająca politycznej zgodzie. Trwa akcja wyrywania Kaczyńskiego ze szponów Macierewicza, dla ogólnego dobra.

Tyle że sam Kaczyński w te szpony ochotczy się pchał, była to jego osobista decyzja. Mógł uciąć to szaleństwo w zarodku, ale uznał, że zamach przyda mu się bardziej niż wypadek, bo inna jest moc pomników nawet domniemanego zamachu niż zwykłej katastrofy. I w każdej chwili może do tego powrócić. Zresztą nigdy z tej tezy nie zrezygnował. Przecież nawet podczas uroczystości 10 kwietnia znowu powiedział, że „zblżyliśmy się do prawdy” i że w Katyniu TEŻ mordowano polskie elity.

Uleganie smoleńskiemu symetryzmowi (obie strony tak samo winne), a także postawienie na smoleński agnostycyzm (nie wiadomo, co się stało) to dwa policzki wymierzone zdrowemu rozsądkowi i logice. Ale także tym, którzy w najlepszej wierze – choć atakowani i poniewierani – zgodnie z zasadami nauki ustalili przyczyny katastrofy. Na takiej fałszywej, wręcz niegodnej podstawie nie zbuduje się żadnej jedności, to kolejne darmowe ustępstwo wobec PiS. Prawda leży tam, gdzie leży.

Wojna w Cannes

Długo wyczekiwany film laureata Oscara Pawła Pawlikowskiego będzie pierwszym od 28 lat polskojęzycznym obrazem zakwalifikowanym do głównego konkursu w Cannes. Ostatnim filmem po polsku ubiegającym się o Złotą Palmę było „Przesłuchanie”, wcześniej „Krótki film o zabijaniu”. „Zimna wojna” będzie też pierwszą od czasu „Pianisty”, czyli od 16 lat, polską koprodukcją (do budżetu dołożyli się Francuzi i Brytyjczycy) startującą w canneńskim konkursie. Już same te liczby wskazują, że stało się coś wyjątkowego.

Przez niemal trzy ostatnie dekady polskie kino nie było właściwie obecne, by nie powiedzieć: nie było mile widziane, na Łazurowym Wybrzeżu. Selekcyjnie tej najbardziej liczącej się imprezy filmowej na świecie sygnalizowali w ten sposób,

że nie nadążało ono po przełomie za modnymi trendami. Przyznany w tym roku Srebrny Niedźwiedź (Grand Jury Prize) w Berlinie dla „Twarzy” Szumowskiej oraz wiele innych międzynarodowych nagród dla polskich filmowców świadczą jednak o czymś zgoła przeciwnym – że nasza kinematografia wraca do swojej świetności. Niezależnie więc od tego, czy i ewentualnie co „Zimna wojna” zdobędzie, film autora „Idy” stanowi tego dobitne potwierdzenie.

Choć polska prawica go nie cierpi, Pawlikowski uprawia kino autorskie wolne od ideologicznego zaangażowania. „Zimna wojna” to częściowo melodramat, ale dużo w nim też będzie muzyki i sporo metafizyki. Realizacja utrzymywana była jednak w tajemnicy. Pawlikowski ma specyficzny styl pracy. Nie trzyma się zbyt ściśle scenariusza.

Pozwala aktorom improwizować, nad wszystkim jednak sprawuje kontrolę.

Otreści filmu wiadomo tyle, że to powrót do głębokiej komuny i ponowna próba rozliczenia tamtego okresu. Historia młodej, pięknej piosenkarki występującej w zespole folklorystycznym, przeżywającej burzliwą miłość w budzącej się do życia Europie. Pozornie nieskomplikowany romans z Joanną Kulig i Tomaszem Kotem w rolach głównych niesiony duszą i poetycką wyobraźnią reżysera, wspomagany ironią Janusza Głowackiego (współautora scenariusza), opowiedziany nastrojem, niedopowiedzeniami, znaczącymi skrótami – jak „Ida”. O nieosiągalnym uczuciu niszczonego przez system, o marzeniach nie do zrealizowania.

Początek festiwalu 8 maja. Laureatów poznamy 19 maja.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



Bez żadnego trybu

„Nie ma zmiłowania!”, krzyczy prezes i służby podległe ministrowi Ziobrze zatrzymują Stanisława Gawłowskiego, a to dopiero początek.

Po tym jak premier Morawiecki przedstawił swój program, chyba już wszyscy uważamy, że nam się należy. Bo ja na przykład wychowałam czworo dzieci, to jakąś emeryturę powinienam przecież dostać; inni mają dziecko w szkole, więc im się należy dodatkowe 300 zł na wyprawkę. Jeszcze inni będą mieć teraz równe chodniki, pocztę bez schodków, mieszkania z windami itd., a małym przedsiębiorcom należą się niskie podatki. A! I oczywiście po raz kolejny nam przypomniano, że kobietom w ciąży należą się lekarstwa za darmo, a nam wszystkim należą się krótsze kolejki do lekarzy. No i super. *Don't worry be happy!* Ten rewolucyjny program Grzegorz Furgo nazwał „Gwiazdką z nieba plus”, na co mu Teresa odwdzięcała radośnie na Twitterze: „Ulicami popłynie miód i mleko, tylko kupmy gumowce”.

Dobre panisko rozda wszystko i to bez żadnego trybu. Tak jak poprzyznawali sobie ministrowie wysokie nagrody, na czele z panią ekspremier Szydło, która na sobotniej konwencji PiS wystąpiła z imponującej wielkości czerwonym kwiatem w klapie. Przypomniało mi to, jak w Krakowie starsze pokolenie, pamiętające jeszcze czasy cesarza Franciszka Józefa, określało niektóre niewiasty pocziwo-prześmiwczym powiedzeniem (zawierającym błąd gramatyczny typowy dla galicyjskiego niemieckiego): *dort das Vorne wo die Brosche* – tam przód, gdzie broszka.

Wątpliwości dotyczących zwrotu nagród na ostatniej konwencji PiS nie było w ogóle, bo przecież pan prezes, również bez żadnego trybu, kazał je przelać na Caritas, a po sprzeciwie, totalnie na tę nagłą szczodrobliwłość nieprzygotowanego Caritasu, zapowiedział „trochę inną formułę” tego zwrotu. Kazał jeszcze obniżyć pensje posłom i samorządowcom. Czego się nie robi dla odwracania uwagi od własnej pazerności i rozrzutności pieniądza publicznego! I żeby była jasność: nie to mi przeszkadza, że pani senator Anders lata klasą biznes do USA, tylko to, że nikt nie wie, po co ona te 600 tys. zł wyłatała i co podatnik, który jej funduje te podróże, na tym zyskał.

A co zyskał podatnik z co najmniej 5 mln zł wydanych na komisję Macierewicza, która nic merytorycznego nie wniosła? Czy pan Macierewicz zwróci „w trochę innej formule” zmarnowane pieniądze? Słyszę, że pan eksminister oraz cała komisja w tym tygodniu wybierają się do USA na spotkania, podczas których ma występować m.in. pani Ewa Kurek, która jest niedoszłą laureatką nagrody im. Jana Karskiego oraz autorką słynnych słów o tym, że Żydzi w gettach dobrze się bawili. Ma tam przemawiać również pani Szonert-Binienda, żona przewodniczącego podkomisji smoleńskiej, znana głównie z tego, że jako honorowy konsul w USA zamieszczała na swoim facebookowym koncie fotomontaż Donalda Tuska przebranego za hitlerowca. Czy za ten wyjazd też my płacimy? I co z niego wyniknie?

Wysokie są koszty jątżenia Polaków przeciw Polakom. Do tego też służyły miesięcznice, aż się ludziom przejadło i zaczęli na transparentach wystawiać PiS rachunki za policję i barierki. A kwota jest nie byle jaka: 2,5 mln zł. O ochronie prezesa wartego od 2010 r. niemal 10 mln zł też jest coraz głośniejsze,

potrzebne są więc nie tylko cukiereczki spadające z mównicy premiera, w stylu: „Tobie też coś damy, bo ci się też należy”, ale i troszkę dreszczyku i kryminału. Te ma zapewnić polowanie na opozycję. „Nie ma zmiłowania!”, krzyczy prezes i służby podległe ministrowi Ziobrze zatrzymują na początek Stanisława Gawłowskiego, chociaż sam zrzekł się immunitetu, a nie doczekawszy się przez wiele tygodni przesłuchania i chcąc podatnikowi oszczędzić kosztów, sam pojechał do szczecińskiej prokuratury.

Zatrzymuje się Jacka Kapicę, tylko po to, żeby pokazać, że wiceminister z czasów Tuska jest wyprowadzany, przesłuchiwany. Polowanie na opozycję czas zacząć, panowie i panie, więc zdejmujemy immunitety kolejnym posłom, tym razem Kamili Gasiuk-Pihowicz i Ryszardowi Petru. Jak pani posłanka śmie wątpić w słuszność decyzji sądu dotyczącej umorzenia sprawy ministra PiS Dawida Jackiewicza? To potwarz i obraza: zdjąć immunitet!

Polowanie na odwołanego dyrektora Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku profesora Pawła Machcewicza trwa już od dłuższego czasu. Bo PiS chce inną narrację. Podobno nękają nawet jego kilkunastoletniego syna. Damy wam cukierki, ale nam nie podskakujcie, bo zrobimy, co chcemy, bez żadnego trybu. Jasne, że najbardziej spektakularne jest ciągnięcie na wielogodzinne przesłuchania przewodniczącego Rady Europejskiej Donalda Tuska. A propos: czy z komisji Amber Gold wynikło coś więcej niż z wcześniejszych wniosków i decyzji z czasów rządów Platformy, która już dawno ukarała winnych? Dumnie brzmi wzywanie na przesłuchanie Bronisława Komorowskiego, że o licznych innych osobach nie wspomnę. Lista nazwisk się wydłuża.

Dostarcza materiał brukowcom oraz uciechy ich czytelnikom, daje okazję pisowskiej telewizji do niedomówień i pomówień oraz wysyła wyraźny sygnał: uwaga i do ciebie możemy zastukać o świeci! Bez żadnego trybu. Bo sądy już od nas zależą i możemy wszystko. Odwołać, tuż przed kolejną rozprawą, sędzię, która orzekła w sprawie śmierci ojca ministra Ziobry – żaden problem. Prokuratora generalnego i ministra w jednej osobie Zbigniewa Ziobrę, wbrew zapisom, pozostawić w roli oskarżyciela posiłkowego – też nie problem.

Iniedługo nie będzie problemem uznanie lub nieuznanie wyniku wyborów, zależnie od woli PiS, bo zwolniona zostanie niemal połowa sędziów Sądu Najwyższego, a tym samym instytucja ta uzależni się od partii rządzącej. Chyba że Komisja Europejska, żądając przyspieszonego trybu, wniesie skargę do Trybunału Sprawiedliwości UE. Jak w przypadku Puszczy Białowieskiej, Komisja, aby powstrzymać nieodwracalne szkody, może zażądać zastosowania środków tymczasowych, czyli zawieszenia stosowania ustawy o Sądzie Najwyższym do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez Trybunał.

To nam się naprawdę należy. Dla ratowania resztek demokracji w Polsce.

Późno? Tak! Dlaczego?

O powstaniu w getcie w odpowiedzi prof. Andrzejowi Zybertowiczowi.

MARIAN TURSKI

O powstaniu w getcie warszawskim napisano już niemal wszystko. Ale nie ma rady – trzeba wracać do tematu, skoro osoba publiczna, z profesorskim tytułem (w skądinąd obfitującym w ciekawe konstatacje wywiadzie dla „Polska The Times”), używa fraz o „poczuciu wstydu (Żydów) za bierność w czasie Holokaustu”, „Holokaust poza wszystkim to również potworne upokorzenie – że nie walczyli, nie stawili oporu”. – Powstanie w getcie jednak wybuchło – stwierdza dziennikarz. „To już było na sam koniec” – odpowiada profesor.

To prawda. Powstanie wybuchło na sam koniec, gdy większość ludności żydowskiej Warszawy (i Polski) została już zagazowana i wymordowana. Dlaczego? Spróbuję odpowiedzieć w kilku krótkich punktach.

CHOROBA GŁODOWA W normalnym czasie przeciętny człowiek, by móc żyć i pracować, potrzebuje 2–2,2 tys. kalorii (ciężko pracujący powyżej 4 tys.). Ja otrzymałem w getcie (łódzkim) ok. 700 kalorii. W getcie warszawskim dostawali przeciętnie mniej. Znane są zdjęcia zwykłych ludzi (uprzywilejowani mniej odczuwali głód), których dotknęła choroba głodowa, zwana inaczej charłactwem. Skóra i kości.

W getcie warszawskim zespół wspinał się lekarzy, pod kierownictwem dr. Izraela Milejkowskiego, oddał przysługę ludzkości, przeprowadzając – niemożliwe w normalnych, pokojowych warunkach – naukowe badania kliniczne nad chorobą głodową. Zacytuję fragment z wniosków końcowych. „Ustrój ginący z powodu długotrwałego wyniszczenia głodowego upodabnia się do gasnącej świecy: życie zanika stopniowo, bez widocznych gołym okiem wstrząsów. Głodujący leniwieje. Jest skąpcem strzegącym z uporem resztek swojego stanu posiadania, tj. ostatnich zapasów energii. Wydatkuje je minimalnie. Ruchy są oszczędne, jak gdyby obliczone. Ich powolność lub nawet bezruch, trwający nieraz w ciągu dni, dążenie do pozycji leżącej, senna, milczenie, hamowanie odruchów, uśpienie psychiki – oto pospolity obraz charłactwa, na którym głód wycisnął swoje piętno”.

BROŃ Nie można planować zbrojnego oporu, gdy nie ma się broni. Obszerny to temat, ograniczę się do jednego epizodu. Gdy Jan Karski odważnie zdecydował się,



© GETTY IMAGES

Dzieci w getcie warszawskim, 1941 r.

by spotkać przywódców dwóch partii żydowskich w getcie, usłyszał od nich skargę na dowódcę AK gen. Roweckiego-Grota, że ignoruje ich prośby o dostarczenie broni do getta. Prosili, by Karski tę skargę przekazał bezpośrednio gen. Sikorskiemu, z pominięciem Grota. Karski powiedział im, że w kraju podlega Grotowi i musi jemu o tym wcześniej zameldować. Co też i uczynił. Rowecki wyraził zgodę na przekazanie skargi do Londynu, ale wytłumaczył Karskiemu, dlaczego dostawy do getta są minimalne: broni ma niewiele, musi ją gromadzić na godzinę W, a broń dostarczona do getta przyda się tylko na krótko i w końcu wpadnie w ręce Niemców. Jeśli dostanie rozkaz z Londynu – zmieni postępowanie. Po latach Karski (miałem zaszczyt, że mnie obdarzył przyjaźnią) powiedział mi: panie Marianie, mnie przekonały wówczas słowa Komentanta. I dodał: później okazało się, że powstanie w getcie trwało o wiele dłużej.

CZY MOGLI PRZEWIDZIEĆ My dzisiaj wiemy, co i kiedy stało się z Żydami polskimi i europejskimi. My wiemy, że nastąpiło gwałtowne przyspieszenie Endloesung, czyli „ostatecznego rozwiązania” kwestii żydowskiej po najeździe Hitlera na ZSRR i po nieudanej próbie zdobycia Moskwy.

Gdy wczytujemy się w teksty źródłowe (np. dzienniki Hansa Franka), to przekonujemy się, że dla samych Niemców była to nagła eskalacja. Po nocy kryształowej w 1938 r. zakładali, że potrzeba im 10 lat na pozbycie się Żydów z obszaru Rzeszy. Pozbycie się nie oznaczało jeszcze wtedy wymordowania – raczej zmuszenie do emigracji... Czy Żydzi w getcie warszawskim byli jasnowidzami? Czy mogli przewidzieć tak gwałtowne przyspieszenie? Czy w Europie ówczesnej, czy w świecie ówczesnym ktoś mógł sobie wyobrazić wymordowanie całego narodu? Kiedy podziemny Bund przesłał kanałami Delegatury w 1942 r. informację o kilkuset tysiącach wymordowanych Żydów polskich – w kręgach uchodźców polskich w Londynie, wśród najbardziej przyzwyczajonych i zasłużonych działaczy socjalistycznych, adresatów informacji Bundu, powątpiewano: Ale przesadzili. Napisałiby: kilka tysięcy wymordowanych – to i tak bardzo dużo. Ale kilkaset tysięcy?... Kto w to uwierzy?

INNA WIZJA MŁODYCH Tuż po rozpoczęciu Wielkiej Deportacji, która do września pochłonie ok. 270 tys. ofiar zesłanych z Warszawy do Treblinki, przywódcy wszystkich partii i organizacji zebrali się, by zastanowić się, co robić. Po latach zastępcza Anielewiczca Icchak Cukierman, ps. Antek, będzie wspominał: „Zaproponowałem, by ci, którzy uczestniczą w spotkaniu oraz ich towarzysze, przywódcy społeczni (byliśmy w stanie zebrać kilkaset Żydów), wyszli na ulice getta z hasłem: »Treblinka to śmierć!«. Niech Niemcy wejdą i zabiją nas. Chciałem, żeby Żydzi zobaczyli krew na ulicach Warszawy, a nie dopiero w Treblince”.

Na tymże spotkaniu sędziwi przywódcy, o nieposzlakowanym charakterze i niekwestionowanym autorytecie, tacy jak rabin Zysia Frydman czy prof. Ignacy Schipper, przeciwstawili się Antkowi: „Niejeden raz naród Izraela zmuszony był do pogodzenia się z przelewem własnej krwi, by ratować rdzeń narodu i zapewnić ciągłość żydowskiego istnienia”.

OKRUTNY WNIOSEK Nie ma tu miejsca, by podać wiele innych, ważnych uwarunkowań, więc ograniczę się do jednego wniosku, który zabrzmi okrutnie. Powstanie w getcie było możliwe dopiero wtedy, kiedy rodziny zostały zamordowane, zagazowane. Kiedy młodzi pozostali bez świadomości odpowiedzialności za ojców, za matki, za dziadków, za dzieci... bo ich już nie było. Wtedy młodzi mogli szafować własnym życiem!

Dlatego powstanie w getcie – tak jest, późno – mogło wybuchnąć.

Rozmowa o planach stworzenia muzeum getta warszawskiego na s. 22.
Do części nakładu tego wydania POLITYKI dołączyliśmy książkę Calka Perechodnika „Spowiedź” – wstrząsającą opowieść żydowskiego policjanta z getta. Szczegóły s. 25.

KOMENTARZ

O co chodzi Zachodowi w Syrii?



Łukasz Wójcik

Trump musiał być lepszy od Obamy, także w tym przypadku. W sobotni rano nakazał więc karne zbombardowanie Syrii w reakcji na kolejne użycie przez reżim Baszara Asada broni chemicznej. Chodzi o atak z 7 kwietnia na Dumę, kontrolowane przez rebeliantów miasto na wschód od Damaszku, w którym zginęło co najmniej 70 osób. W 2013 r. Obama ostrzegał Asada, że każde użycie takiej broni (bezprawne, również w świetle konwencji podpisanych przez Syrię), pociągnie za sobą amerykańską odpowiedź. Nie pociągnęło. Ale przyszedł Trump i „dało się”, jak skomentował weekendowy atak nowy doradca ds. bezpieczeństwa narodowego John Bolton.

Kara była precyzyjna i – biorąc pod uwagę ograniczone straty w ludziach po stronie syryjskiej oraz brak reakcji rosyjskich jednostek obecnych w tym kraju – uzgodniona ze wszystkimi zainteresowanymi. Amerykanie, wsparci przez Francję i Wielką Brytanię, wystrzelili w krótkim czasie 105 pocisków samosterujących. Ich cele były trzy: laboratorium chemiczne na obrzeżach Damaszku, skład broni chemicznej koło Homs oraz pobliski bunkier dowodzenia. Zaraz potem Biały Dom ostrzegł, że amerykańska broń „jest wymierzona i załadowana” na wypadek przyszłych zdarzeń.

Zdania co do sensu sobotniego ataku są podzielone. Wielu ekspertów uważa, że kolejne przyzwolenie (przez brak reakcji) na użycie broni chemicznej mogłoby zachęcić innych przywódców do naśladownictwa. Odwet miał być symboliczny – nie chodziło o obalenie Asada, ale o obronę zasad. Z drugiej strony, szczególnie od Syryjczyków, słychać oskarżenia o hipokryzję. Wskazują oni, że ofiary 34 dotychczasowych ataków chemicznych to mniej niż jeden procent z pół miliona ludzi zabitych już w tym konflikcie. Znacznie więcej zginęło od wybuchów tzw. bomb beczkowych czy ostrzału artyleryjskiego, na co Zachód nie reagował.

Pojawia się też pytanie o długofalowe cele Zachodu w Syrii. Rosja od początku nie ukrywa, że chodzi jej o utrzymanie reżimu Asada, a strategicznie – o powrót do pierwszej ligi geopolityki. Iran, tak jak Rosja, chroni Asada, ale po to, aby destabilizować Syrię – państwo sunnickie, więc potencjalnie wrogi Teheranowi, oraz aby utrzymać lądowy kontakt z szyitami w Libanie. Turcja ogranicza się do blokowania konsolidacji ziem kurdyjskich w północnej Syrii, bo mogą one stać się zapleczem politycznym i militarnym dla Kurdów w Turcji.

AZachód? Na początku wojny w Syrii wydawało się, że chodzi o wspieranie demokratycznej opozycji i w dłuższej perspektywie – obalenie Asada, choć nie własnymi rękoma. Dziś ograniczona obecność Ameryków, którzy w Syrii przede wszystkim szkolą Kurdów, sugeruje raczej walkę o zachowanie status quo: nie ma już szans na obalenie Asada, chrońmy więc resztki opozycji, aby była partnerem dla reżimu w ustalaniu przyszłego porządku w kraju. Asad tego tak nie widzi i woli bombardować, niż rozmawiać. Zachodowi potrzebny jest więc nowy pomysł na Syrię. Symboliczne kary, nawet wykonywane najnowocześniejszą bronią i w najbardziej szczytnym celu, nie wystarczą.

Wolność słowa po węgiersku

Zaraz po wyborach miliarder Lajos Simicska, kiedyś przyjaciel Orbána, dziś z nim skłócony, zamknął dziennik „Magyar Nemzet”.



Duża **demonstracja w Budapeszcie**, korespondent BBC doliczył się 100 tys. uczestników, to najbardziej widoczna reakcja tych Węgrów, których rozczarowały wyniki wyborów z 8 kwietnia. Fidesz, partia premiera Viktora Orbána, zwyciężyła trzeci raz z rzędu i zapewniła sobie większość konstytucyjną.

Manifestanci domagali się ponownego przeliczenia głosów, zaprzestania rządowej kampanii nienawiści wobec imigrantów, zjednoczenia opozycji i bezstronnych mediów publicznych. Obserwatorzy z misji OBWE przyznali, że sam proces głosowania był technicznie w porządku. Zastrzeżenia zgłosili natomiast do przebiegu kampanii wyborczej, zwłaszcza daleko idącego wsparcia udzielonego partii rządzącej przez instytucje państwowe, w tym publiczne media.

Po wyborach zawęża się pole debaty publicznej. Na Węgrzech głosy krytyczne pod adresem rządu płyną głównie z portali internetowych, cieszących się największą niezależnością. Z nielicznymi wyjątkami telewizja, radio i prasa drukowana kontrolowane są przez różnych stronników Fideszu. Wyjątków ubywa. Miliarder Lajos Simicska, kiedyś przyjaciel Orbána, dziś z nim skłócony, zamknął właśnie dziennik „Magyar Nemzet” (wychodził od 80 lat) i rozgłosił radiową Láncid. Należącą do niego stację telewizyjną Hir TV czeka restrukturyzacja, a tygodnik „Hetí Válasz” został wystawiony na sprzedaż.

Simicska wycofuje się z przedsięwzięć medialnych, bo po utracie reklam państwowych przedsiębiorstw były głęboko niedochodowe, chodzić też może o ochronę innych interesów oligarchy i względy emocjonalne, że nie udało się Orbánowi tak przyłożyć, by odczuł to wyborczo. Dziennik, radiostację i tygodnik chciałby kupić Péter Ungár, zamożny z domu poseł Partii Zielonych, który szuka jeszcze innych inwestorów. Przejęcie tych mediów przez polityka, tyle że z opozycji, miałyby przysłużyć się obronie węgierskiej wolności słowa.

Akademia się sypie

Uwaga: Literacka Nagroda Nobla może nie być w tym roku przyznana. W związku z głębokim kryzysem, jaki opanował Akademię Szwedzką przysługującą te najbardziej w świecie prestiżowe wyróżnienia. Doszło tam do podziału na dwie walczące ze sobą grupy. Z grona 18 wybieranych dożywotnio członków kilku odeszło lub zapowiedziało odejście, co może doprowadzić do utraty kworum niezbędnego do podejmowania decyzji, także w sprawie Nobla. Stan osobowy jest na razie płynny.

Obecny kryzys, w przeciwieństwie do kilku poprzednich, nie ma bezpośredniego związku z samymi nagrodami. Tym razem dotyczy on podejrzanych decyzji finansowych, dysponowania majątkiem akademii, naruszania zasad etyki i moralności. Grzechy te wyszły na jaw w kraju słynącym ze swojej transparentności dopiero przy okazji kampanii #MeToo. I skandalu wokół niejakiego Jean-Claude'a Arnaulta. Ten Francuz ożeniony z członkinią Akademii Katariną Frostenson, czołową szwedzką liryczką, wykorzystywał jej pozycję do stworzenia sobie za pieniądze Akademii salonu literacko-wystawowego w Sztokholmie, który służył mu m.in. także do podrywania kobiet związanych ze szwedzką kulturą. Arnault jako erotoman znany był już w latach 90. Szwedzkie media pisały nawet wówczas o „seksterrorze wśród kulturalnej elity”, a do Akademii kierowano na Arnaulta skargi pokrzywdzonych kobiet. Latami przymykano jednak na to oczy.

Teraz do akcji ratowania dobrego imienia Akademii włączył się król Karol XVI Gustaw, twierdząc, że ustalone w końcu XVIII w. zasady dożywotniego wyboru akademików nie mieszczą się w dzisiejszych standardach, i zapowiadając zmianę statutu. Jednak interwencja króla też spotkała się z krytyką, ponieważ naruszać ma niezależność tej liczącej ponad 200 lat instytucji. Końca tej pałacowej rewolucji, jak określają ją szwedzkie media, nie widać. Tak czy owak, to już nie będzie ten Nobel.



Klaruj, Franciszku!

Wośmiennych elitach nie ustaje ferment wywołany papieskim dokumentem duszpasterskim „Amoris laetitia” (2016) o miłości w rodzinie i małżeństwie. Katolicycy tradycjoniści wzięli go pod doktrynalną lupę. Niektóre fragmenty uznali za nieprecyzyjne do tego stopnia, że zahaczające o herezję. Ich zdaniem dokument podważa nierozzerwalność małżeństwa zawartego w Kościele. Tymczasem papież zachęca do dyskusji w tej sprawie. Bo na przykład Kościół w ojczyźnie papieża, Argentynie, zezwala (wyjątkowo) na udzielanie komunii rozwodnikom.

Sporna sprawa wróciła teraz podczas kościelnej konferencji w Rzymie poświęconej zmarłemu niedawno kardynałowi Carlo Caffarra. Był on jednym z sygnatariuszy głośnego listu czterech purpuratów do papieża Franciszka (2016). Apelowali,

żeby odpowiedział na wątpliwości, jakie ich zdaniem dokument budzi w świetle doktryny katolickiej. Dwaj inni sygnatariusze listu (na który papież nie odpowiedział), kardynałowie Walter Brandmueller i Raymond Burke, poparli przyjętą na konferencji deklarację, która podtrzymała wcześniejsze zastrzeżenia. Trzy lata temu zebrano blisko 800 tys. podpisów pod „deklaracją wierności” tradycyjnej nauce Kościoła o małżeństwie i rodzinie. Podpisało ją m.in. 201 do stojników kościelnych (ale tylko 8 spośród ponad 200 kardynałów). Inna grupa ponad 60 duchownych i świeckich (w tym biskup lefebrysta Bernard Fellay i polski publicysta prawicowo-katolicki Arkadiusz Robaczewski) ogłosiła „synowską korektę dotyczącą szerzenia herezji” dotyczącą tegoż dokumentu Franciszka. Taka publiczna krytyka wypowiedzi urzędującego papieża przez księży, biskupów czy katolików świeckich jest rzadkością. Graniczy z podważeniem jego autorytetu jako arcybiskupa Kościoła, czyli z frondą przeciwko Franciszkowi.



Na zawsze Buteflika

Partia prosi, żeby prezydent Algierii został na piątą kadencję.

Sekretarz generalny rządzącego Algierii Frontu Wyzwolenia Narodowego (FLN) Dżamel Abbes wezwał prezydenta „w imieniu 700 tys. członków partii i rzesz sympatyków”, aby w przyszłym roku wystartował w wyborach po piątą kadencję. Mały kłopot w tym, że 81-letni Abdelaziz Buteflika, po przebytych w 2013 r. udarze i wielomiesięcznej hospitalizacji w Paryżu, porusza się na wózku i nie odzyskał mowy. W wyborach w 2014 r. zgłosił się w ostatniej chwili i nie był w stanie prowadzić kampanii. Przemówienia w jego imieniu wygłaszali na wiecach najbliżsi współpracownicy albo ograniczali się do frazy: „dobrze wiecie, co pan prezydent chciał wam powiedzieć”. Co wystarczyło, aby gładko pokonał pięciu papierowych konkurentów. Praktyczną władzę, jak sprawował, tak sprawuje klan Buteflików na spółkę z armią. Każda nowa postać w pałacu prezydenckim zburzyłaby tę delikatną równowagę, dlatego jest, jak jest.

Aby przeciąć spekulacje, po wielu miesiącach nieobecności prezydent, wieziony na wózku, pojawił się w stolicy na uroczystej inauguracji linii metra. Sytuacji sprzyja względny spokój: Algierie ominęła gorączka arabskiej wiosny, przez pamięć o tragicznej wojnie domowej z przeszłości. Co prawda ostatnio manifestowali nauczyciele, studenci i uczniowie, bezrobocie wśród młodych jest rekordowe, a cena napędzającej tu wszystkó ropy naftowej – niska, ale prezydenta wydaje się to już mało obchodzić.

O kłopotach z sukcesją na świecie – s. 40.

Czterej jeźdźcy @pokalipsy

Światem rządzą giganci gospodarki cyfrowej:
Google, Apple, Facebook i Amazon, czyli GAFA. Dla jednych to apostołowie nowego,
lepszego świata, dla innych aniołowie zagłady.



ILUSTRACJA IGOR MORSKI

N

ie patrzyliśmy właściwie na naszą odpowiedzialność i to był duży błąd. To był mój błąd. Dlatego dziś mówię: przepraszam. Stworzyłem Facebooka, prowadzę go i jestem odpowiedzialny za to wszystko, co się z nim dzieje” – mówił Mark Zuckerberg podczas przesłuchania przed senacką komisją badającą okoliczności afery Cambridge Analytica (POLITYKA13). To był sąd nie tylko nad Facebookiem, ale nad działalnością wszystkich amerykańskich cyfrowych

gigantów, które kształtują dziś losy świata. Afera Cambridge Analytica pokazała, jaka moc drzemie w cyfrowej gospodarce, w eksabajtach danych, które na temat milionów użytkowników gromadzą giganci z Krzemowej Doliny. Jak łatwo też dane te wyprowadzić i nimi manipulować, kusząc do zakupów, ale także wpływając na demokratyczny proces wyborczy prezydenta największego mocarstwa (być może także i polskiego prezydenta).

Zuckerberg, twórca i szef Facebooka, przyznał, że tak naprawdę nie wie, ilu milionów użytkowników dane wyciekły z serwisu (co najmniej 50 mln, a mówi się, że nawet 87 mln) i co się z nimi teraz dzieje. Facebook (FB) będzie próbował to ustalić, a do wszystkich, którzy mogli paść ofiarą nadużycia, wysłał przeprosiny. Zuckerberg ma nadzieję, że fejsbukowicze wybaczą ten błąd, który – jak obiecuje – już się więcej nie powtórzy.

Emigracja z Facebooka

Tymczasem ruch oburzonych zorganizował akcję #DeleteFacebook, wzywając do kasowania kont w serwisie. Mało kto jednak wierzy, by bojkot mógł zagrozić największemu serwisowi społecznościowemu świata. Już ponad 2 mld użytkowników na całym świecie ma konto na Facebooku. Są obywatelami cyber-state, czyli cyfrowego państwa. Dokąd uciekną? Na Instagrama, WhatsApp? To przecież terytoria należące do FB. Na Google+? Wielu ma konto w tym serwisie, ale mało kto z niego korzysta. Trudno przecież uciec na Snapchata, bo to rozrywka dla gimnazjów, a Twitter to serwis mikroblogowy, dobry dla prezydenta Trumpa do rządzenia Ameryką i dla posłanki Pawłowicz do walki z wrogami „dobrej zmiany”, ale Facebooka nie zastąpi.

Kłopoty wizerunkowe to dla Facebooka nie nowina. Najczęściej zarzuty dotyczą tolerowania rasizmu, fałszywych wiadomości (fake newsów), mowy nienawiści, co w skrajnych przypadkach może prowadzić do tragedii. ONZ ostatnio oskarżył serwis, że akceptując pokazywanie aktów przemocy na żywo, przyłożył rękę do ludobójstwa i czystek etnicznych w Mjanmie (Birmie). Facebook kolejny raz bije się w piersi, przyznając, że zawiodła sztuczna inteligencja systemu i ludzka inteligencja weryfikatorów, których zadaniem jest czuwanie, żeby na fejsbukowych profilach nie pojawiały się treści niezgodne z regulaminem. A także by nie tworzono fałszywych kont i nie rozpowszechniano fake newsów.

Weryfikatorów na całym świecie (choć nie w każdym kraju) pracuje dla FB 15 tys., ale po ostatnich wydarzeniach Zuckerberg obiecał zaangażować dodatkowych 5 tys. Serwis jest jednak między młotem a kowadłem, bo padają jednocześnie zarzuty o cenzurę i tłumienie prawa do wypowiedzi, czyli tego, czego zabrania pierwsza poprawka do Konstytucji USA. Polscy narodowcy, dotknięci działaniami weryfikatorów, pikietowali nawet w tej sprawie warszawskie biuro FB.

Emigracja z Facebooka nie jest rzeczą łatwą także dlatego, że trzeba zostawić za sobą cały cyfrowy dobytek, który się wypracowało, sieć społecznych kontaktów, polubień, masę wspomnień. To właściwie zerwanie ze światem. Kto się na to zdecyduje? – Gromadzenie danych użytkowników i uniemożliwianie ich przenoszenia jest

jednym ze sposobów, w jaki potęgi GAFA bronią się przed konkurencją. Póki regulatorzy rynkowi nie wymuszają zmiany tej polityki, użytkownicy będą przywiązani do swoich serwisów – wyjaśnia Michał Kreczmar, dyrektor ds. cyfrowej transformacji w PwC Polska.

Strategia jest prosta: jeśli udało ci się zdobyć użytkownika, to za wszelką cenę go trzymaj, metody nie grają roli. Bo użytkownik to żywy pieniądz. To wynika z modelu biznesowego dominującego w internecie. Użytkownicy dużą część usług dostają za darmo, ale mimo to firmy wychodzą na swoje. Facebook w ubiegłym roku zanotował 40,6 mld dol. przychodów i blisko 16 mld zysku. Pieniądze w przytłaczającej części pochodziły z różnych form e-reklamy. Użytkownicy serwisu, wrzucając na darmowego fejsa fotki z wesolych imprez, publikując posty o tym, jak przebiegał trening na siłowni i jaki ciuch kupili, ciężko pracują dla Zuckerberga. Statystyczny fejsbukowicz dostarczył w ostatnim kwartale serwisowi 6 dol. przychodu, a w bogatszych krajach nawet ponad 20 dol.

– *Towarem, jaki ma do sprzedaży serwis społecznościowy, jest dostęp do użytkowników, ich czas i uwaga. Biznes jest tym bardzo zainteresowany. Ekonomia uwagi to dziś podstawa gospodarki internetowej* – wyjaśnia dr Jan Zajac, prezes firmy Sotrender, specjalista w dziedzinie marketingowych analiz sieci społecznościowych.

Dwie strony platformy

Sieć chce wiedzieć o użytkowniku jak najwięcej, a on zwykle niczego nie ukrywa. Wszystkie informacje sieć skrupulatnie gromadzi i analizuje, bo ta wiedza jest jej najcenniejszym zasobem. Potrzebują jej reklamodawcy, ale także rządy, politycy, a coraz częściej i służby specjalne.

– *Problemem nie jest to, że sieci wykorzystują informacje o użytkownikach, ale to, że nie informują jasno, jakie to są dane, co się z nimi dzieje, do jakich celów są potrzebne. Nie pytają wyraźnie użytkowników o zgodę. Być może afera Cambridge Analytica doprowadzi do uregulowania tej kwestii* – uważa Michał Kreczmar. Szansę na poprawę daje też wchodząca w życie unijna dyrektywa o ochronie danych osobowych (RODO). Apple zapowiedział, że nowe standardy zastosuje na całym świecie, reszta na takie poświęcenie nie jest gotowa.

Dziś każda firma z realnej gospodarki, każda instytucja, także państwowa, musi być obecna w serwisach społecznościowych – na Facebooku, YouTube, Instagramie, Twitterze – bo tam toczy się życie. Każde tradycyjne medium, każdy portal informacyjny musi mieć swój profil. To rodzaj ambasady, która ma zachęcać sieciowych turystów do odwiedzin macierzystych stron internetowych, czyli generować ruch na stronie.

Formaty reklamowe, jakie oferują serwisy społecznościowe, pozwalają na dotarcie z ofertą dobranej indywidualnie, bo reklamodawca wie dziś o fejsbukowiczu więcej niż on sam o sobie. To jednak sprawia, że serwis nie może przesadzać z chronieniem prywatności, bo wtedy nic nie zarobi. Musi akceptować działalność deweloperów tworzących aplikacje na Facebooka. Wśród nich zdarzają się i takie, jak dzieło tajemniczego naukowca Aleksandra Kogana do przewidywania osobowości fejsbukowicza, które stało się przyczyną afery Cambridge Analytica. „Naszą misją jest budowanie społeczności wszystkich ludzi na świecie. Ważne, by nasza usługa była powszechnie dostępna. Dlatego takie znaczenie ma darmowy model biznesowy wspierany reklamami” – przekonuje Mark Zuckerberg. Podczas przesłuchania zapewniał: jest dla nas ważniejsze, by chronić społeczność Facebooka, niż maksymalizować zyski.

Ekonomiści taki system nazywają platformą rynku dwustronnego: po jednej stronie subsydiowana działalność po to, by po drugiej stronie odbić to sobie z nawiązką. Tę metodę stosują też inni członkowie klubu GAFA, a szczególnie Google. Żyje głównie ►